

ZŁUDZENIA AKADEMICKICH ETYCZNYCH ZACHOWAŃ

Prof. dr hab. Tadeusz Gerstenkorn

Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu

tadger@math.uni.lodz.pl

*Niech was darmo nie przestrasza,
Że dziś podłość górą wszędzie:
Z wiary waszej – wola wasza,
Z woli waszej – czyn wasz będzie.*

Zygmunt Krasiński

Rady i wskazania ewangeliczne są znane od wieków. Nie tylko okres Wielkiego Postu jest szczególnie przydatny do przemyślenia, czy korzystaliśmy z nakazów Ewangelii i jak wielkie były nasze uchybienia. Czy sprostaliśmy wezwaniom, do których zostaliśmy powołani?

Nauczyciele, zwłaszcza akademicy, pełnią w społeczeństwie szczególną rolę. Są nosicielami kultury i nauki. Na nich są zwrócone oczy całego narodu, a przede wszystkim ich wychowanków i podopiecznych – pracowników. Może warto przyjrzeć się, czy nie ma w tym środowisku wad, które warto naprawić lub usunąć. Minione lata poczyniły wiele szkód nie tylko w mentalności, ale w sposobie patrzenia na życie i w moralności. Próbuje się weryfikować, *restrukturyzować* normy etyczne dla własnego usprawiedliwienia. Jest to szczególnie niebezpieczne, jeśli zły przykład idzie z góry. Przyjrzyjmy się, czy środowisko akademickie, raczej dość hermetyczne, nie jest bez wad, czy można bez obawy patrzeć na tytuł lub stopień akademicki, z którym dość często się w życiu spotykamy. Może warto pewne sprawy uporządkować, **aby hasło uczciwości akademickiej nie było iluzoryczne**, nie stanowiło ironicznych komentarzy w społeczeństwie.

Na początku było Słowo (J 1,1). Ewangeliczne słowa Prologu św. Jana wskazują nam, że u podstaw wszelkiego naszego działania, naszego istnienia, powinna być *myśl* – *logos*. A zatem już dwa tysiące lat temu sformułowano wyraźnie tezę, że wstępem do wszelkiej akcji indywidualnej lub zbiorowej powinno być przemyślenie. Ale św. Jan kontynuuje: *a Słowo było u Boga*. A zatem daje nam jasno do zrozumienia, że nasze zamiary, myśli skierowane na czynności osobiste, społeczne lub polityczne powinny być odniesione do Boga, a więc powinny być etyczne. Refleksja ma być przesiąknięta troską o dobro własne

i wspólne, odniesiona do najbliższego oraz dalszego otoczenia, skierowana z miłością na każdego człowieka, żyjącego najczęściej we wspólnocie, to jest na ojczyznę. **Każde świadome działanie człowieka ma pewien wymiar etyczny.** Żyjąc we wspólnocie rodzinnej, w kręgu pracy zawodowej, działając społecznie lub politycznie, nie możemy się uchylać od odpowiedzialności etycznej, od odpowiedzialności przed społeczeństwem i przed Bogiem za każdy nasz, podkreślam, świadomy czyn.

Rekolekcje, których w różnych okresach roku słuchamy, odnoszą się najczęściej do spraw ogólnych i nie poruszają niestety najczęściej specyficznych problemów środowiskowych (choć powinny). Spróbujmy zajrzeć w nasze akademickie kręgi i zastanowić się, czy jest wszystko tak, jak być powinno. Rozważania te nie mają charakteru typowego *rachunku sumienia*. Są to raczej przemyślenia i spojrzenia na pewne zjawiska, które nie wyglądają idealnie. Być może oburzą pewne *autorytety*, które tylko skłonne są wydawać sądy o innych, moralizować, a same u siebie wielkich wad, a nawet przewinień, nie widzą.

Światopogląd nasz społeczny, polityczny, religijny, kształtuje się przez lata, często podlega różnym wahaniom, bowiem zmuszeni jesteśmy opierać się na przekazywanych nam przez wiele osób poglądach i ideach, korzystać z masy publikacji i różnorodności środków przekazu. Nie mamy ani technicznej, ani czasowej możliwości wszystkiego sprawdzić. Opieramy się z reguły na wybranych przez nas wiarygodnych osobach, uczonych lub ośrodkach naukowych, krótko mówiąc na uznanych przez nas autorytetach. Kto jednak zasługuje na to, by uznać go za *autorytet*? Przyjrzyjmy się znaczeniu tego słowa i jego funkcjonowaniu w naszym życiu.

Termin **autorytet** pochodzi od łacińskiego *auctoritas* i ma zbliżone brzmienie w wielu europejskich językach, Duży słownik języka łacińskiego zawiera taką masę zbliżonych znaczeń i kontekstów, że nie sposób tego tutaj przytaczać. Główne znaczenia tego słowa to: *wzór, przykład, powaga, znaczenie*. Możemy więc chyba bez przeszkód przyjąć, że *autorytet* ukierunkowuje nas na takie terminy jak *prestiz, uznanie, szacunek, poważanie, cześć lub respekt*.

Znaczenie autorytetu w życiu społecznym jest tak ważne, że rozważaniom na ten temat poświęca się nawet specjalne sesje naukowe. Nie tu miejsce na relacjonowanie takich dyskursów. Dla naszych celów może na wstępie wystarczy stwierdzić, iż *ktos jest dla nas lub dla pewnego środowiska autorytetem w danej dziedzinie, jeśli przypisane są mu w tej dziedzinie duże kompetencje*. Nie wymagamy więc, by człowiek uznany przez nas jako autorytet znał się znakomicie na wszystkim, by był wszechwiedzący. *Musi on być jednak dobrym znawcą przedmiotu, który reprezentuje*. Czy to jednak wystarczy? Na pewno nie. **Wymagamy od niego przede wszystkim, by był prawdomówny.** Wystarczy więc choćby jedno potknięcie, a mit autorytetu znika.

W starożytności, kiedy zakres ówczesnej wiedzy nie był, tak jak dziś, ogromny, można było spotkać nazwiska o szeroko rozumianym autorytecie. Dzisiaj zawężamy to z reguły do jakiejś określonej dziedziny, choć nie odmawiamy prawa wybitnym osobistościom do zajmowania stanowiska w dziedzinach,

w których nie są autorytetami, jeśli nie wykorzystują one swego uznanego prestiżu do propagowania czegoś, na czym się idealnie nie znają.

Kreowane przez media autorytety odnoszą się często do takich dziedzin, jak: sfera nauk szczegółowych, sfera prawa, sztuki, filozofii, a zwłaszcza sfera moralna.

Autorytety, zwłaszcza naukowe i moralne, w Polsce się namnożyły. Z dużą nieufnością przyglądam się doniesieniom o wielkich osiągnięciach tego czy owego „naukowca” wyrażonych w mnogości publikacji, liczącej czasem nawet kilkaset pozycji. Nie są to z reguły artykuły noszące wyłącznie nazwisko tegoż wybitnego „uczonego”. Gdy wniknąć bliżej w tajemnicę takiej niezwykle płodności, to okazuje się, że są to prace współpracowników, do których „uczony” się dopisywał, wywierając – co jest tajemnicą poliszynela – niedwuznaczną presję kierowniczą. Jeszcze gorzej, jeśli ważkich publikacji takiego „wybitnego” profesora nie można się doszukać ani w bibliotece uniwersyteckiej, ani w Internecie. Sprawa powinna znaleźć szersze omówienie w uczelnianych zespołach etycznych. Tutaj sygnalizuję tylko sam problem, który jest bardzo ważny, bo pominięcie jego niszczy sprawiedliwe spojrzenie na powagę uczonego w naszym społeczeństwie.

Zatrzymajmy się teraz przy ważnym z wielu względów tak zwanym **autorytecie moralnym**. W odróżnieniu od autorytetu w sferze nauk szczegółowych, nie wymagamy tu szczególnej, nadzwyczajnej wiedzy z teorii lub metodologii etyki, lecz domagamy się lub też oczekujemy, by był taki człowiek pewnym *wzorcem moralnym*, by potrafił w sytuacjach trudnych dokonywać trafnego wyboru i umiał uzasadnić przekonywująco swoją ocenę postępowania. Autorytet moralny musi więc być pewną *osobowością* o nieskazitelnych cechach *charakteru*, które jesteśmy uznać jako pewnego rodzaju *cnoty*. Trudno więc nam będzie uznać kogoś za autorytet, choćby nie wiem jak był na taki autorytet przez media kreowany, jeśli zachwiana zostanie jego *prawdomówność*. Czy może być autorytetem w sferze polityki ktoś, kto na przykład przekłamał swoje wykształcenie? Czy wszystko inne, co mówi, można wówczas uznać za słuszne i godne uznania? Czy będzie dla nas autorytetem ktoś, kto stale zmienia poglądy polityczne lub nagina je do racji silniejszego, lub sprzeniewierza się *polskiej racji stanu*? Czy zasługuje na uznanie partia, której członkowie dokonują oszustw wyborczych lub wplątani są w afery korupcyjne?

Na ogół osoby duchowne są obdarzane przez nas dużą czcią, czyli uważane za autorytety moralne. Ostatnie zawirowania postaw niektórych z tych osób w dziedzinach ważnych dla naszej przyszłości narodowej, a nawet sama ocena przez nich pewnych instytucji lub mediów katolickich, sprawia, że prestiż niektórych osobistości duchownych stał się nadwątlony. Niedawno, gdy zainicjowano frontalny a niesprawiedliwy atak na Radio Maryja i dyrektora tej placówki, zwróciłem się z apelem o interwencję i pomoc do pewnego hierarchy. Otrzymałem dziwną odpowiedź: „Nikt mnie o to oficjalnie nie prosił”. Czy taki hierarcha będzie dla mnie autorytetem? Gorzej jeszcze, gdy zwracam się z pewnym problemem społeczno-religijnym do wysoko postawionej osoby w Kościele, proszę o odpowiedź i zajęcie stanowiska, a odpowiedzi w ogóle nie otrzymuję. Przecież to sprawa nawet zwykłej kultury. Jak to jest wówczas z autorytetem? Niestety sama

instytucja, sama przez się, na autorytety swoich członków nie kreuje, choćby to była instytucja bardzo szacowna. Kościół polski zawsze był z narodem. Powinno tak też być teraz. Nie można unikać zdecydowanych, jasnych deklaracji o określonym wyrażnie kształcie moralnym. Uniki nie sprzyjają autorytetowi ani osób, ani instytucji.

Od nas samych zależy wyeliminowanie tych pseudoautorytetów i ich ugrupowań z naszego życia społecznego i politycznego. Akceptacja ich obciąża nas samych moralnie i źle służy Polsce. Zastanówmy się. Czas wyborów i naszych decyzji jest już bliski. Znaczenie autorytetu w społeczeństwie jest ogromne. Osoba obdarzona charyzmą autorytetu wpływa bowiem na nasze poglądy, które często ogromnie ważą na naszym życiu. Naszym zadaniem jest trafna ocena i wybór autorytetu, osób lub instytucji, do których mamy zaufanie. Niech te przemyślenia ułatwią nam trafną decyzję, od niej bowiem często zależy nasze życie.

Na ogół śpiam dobrze, jednak pewnej nocy obudziłem się o godzinie, o której wszyscy śpią w najlepsze, gdyż targał mną nieokreślony niepokój. Zacząłem przemyślać, moje myśli się kłębiły i wydobywały z podświadomości tłące tam stany, burzliwe refleksje, prawdziwy *las spraw – silva rerum*, układających się w obraz aktualnej rzeczywistości. Oto zaledwie kilka z nich:

Pierwsza sprawa: *życie akademickie*. Już od pewnego czasu ukazuje się (także w Internecie) czasopismo pt. *Forum Akademickie*. Znaleźć tam można wypowiedzi uczonych z różnych dziedzin nauki, ale także ciekawe felietony i bieżące informacje. W numerze szóstym z 2003 roku podano najważniejsze zmiany dotyczące pracowników naukowych i studentów zawarte w projekcie ustawy o szkolnictwie wyższym, opracowywanym przez zespół pod przewodnictwem prof. Jerzego Woźnickiego, prezesa Fundacji Rektorów Polskich, powołanej przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Po każdym artykule podanym w Internecie jest stopka na komentarz czytelnika. Skorzystałem z tego i przesłałem swoje uwagi odnoszące się do dwóch tematów. Ponieważ nie otrzymałem na nie odpowiedzi, zamieszczam je tutaj. Może zaciekawią lub wzbudzą dyskusję. Pisałem więc: *To bardzo smutne, że proponuje się ustawy wzorowane na ustawach z czasów PRL. W 1961 roku wydano zarządzenie o jednoetatowości dla pracowników naukowych. Na drugim (pół)etacie można było pracować tylko za specjalnym zezwoleniem. Obejmowało to w praktyce tylko prominentów. Teraz ma być podobnie. Jedyńm kryterium pracy powinna być jakość jej wykonywania, a nie administracyjne zakazy lub nakazy. Co to ma wspólnego z wolnością człowieka i jego prawami? Nie powinno w ogóle istnieć pojęcie głównego (pierwszego) miejsca pracy. Jeżeli ktoś wykonuje swoją pracę porządnie i bez zastrzeżeń, to nie powinno nikogo obchodzić na ilu etatach pracuje i który etat jest etatem głównym.*

Oczywiście trudno mi uwierzyć, by mieć np. poprawną opiekę merytoryczną nad setką prac dyplomowych i to nawet w jednej uczelni, a co dopiero w dwóch. A cóż dopiero z jakością pracy naukowej. Są „uczeni”, którzy wykorzystują swój status profesora i latami nie potrafią się wykazać nowymi osiągnięciami (także niestety na jednym jedynym etacie). Jednak uczelnia zatrudniająca takiego pracow-

nika, jeśli jest uczciwa i dba o swą renomę, zapewne znajdzie sposób na eliminację takiego zjawiska. Powinien tu bowiem także istnieć nadzór z zewnątrz. Wymawia się profesorom o cenionych specjalnościach, że mają dodatkowe zajęcia. Sądzę, że gdyby byli właściwie wynagradzani, to nie widzieliby żadnego powodu przyjmowania ponadetatowego zatrudnienia w innej uczelni. Uczeni nie są aż tak zachłanni jak politycy, by tracić zdrowie na dodatkową pracę, jeśli nie zachodzi ku temu nadzwyczajna potrzeba. Zajmowane przez nich tu czy ówdzie miejsca są kroplą w morzu godzin ponadwymiarowych, które mogłyby być wykorzystane na asystenckie lub inne etaty.

Druga sprawa. Planowane i potwierdzające obecny stan rzeczy zarządzenie o możliwości narzucenia pracy ponadwymiarowej w uczelni jest właściwie pewną formą zniewolenia. Wiadomo, że są uczelnie, które nie mają pieniędzy na opłacenie tych godzin lub płacą za nie dopiero pod koniec roku akademickiego (raczej niewiele). Tymczasem wolne godziny ponadwymiarowe oznaczają właściwie możliwość zatrudnienia dodatkowych osób, co przy obecnym bezrobociu jest sprawą dużej wagi. Młodzi zdolni ludzie nie mają możliwości znalezienia się na uczelni właśnie z tego powodu, że zaoszczędza się na niepłatnej lub symbolicznie płatnej pracy młodej kadry. Nie dziwię się takim planom. Widzę dobrze, kto to planuje i chce przeprowadzić.

Trzecia sprawa. Tak się zastanawiam, jak to jest. Prezydenta państwa, miasta, nawet wójta, wybiera się w powszechnym głosowaniu, a tymczasem rektora państwowej (publicznej) uczelni wybiera się dotąd przez przedstawicieli pracowników, którzy po wybraniu na tę funkcję wcale nie muszą głosować i wybierać według oczekiwań swych wyborców, ponieważ nikt ich do tego nie zobowiązywał, ani też oni przy swym wyborze nic wiążącego nie deklarowali. Cóż to zatem za uniwersytecka demokracja?

Czwarta sprawa. Zanikają zupełnie, przynajmniej u nas, dobre obyczaje akademickie. Chciałbym tu na jedną sprawę szczególnie zwrócić uwagę. Gdy przeglądam spisy kadry profesorskiej uczelni niemieckich, to zauważam, że w każdym ośrodku jest zamieszczony także wykaz profesorów emerytowanych, z podaniem także numeru telefonu służbowego. A u nas? Czy znajdują oni choć ką w swej *alma mater*? Nie chcę tego nawet opisywać, aby nie robić tym zasłużonym ludziom przykrości. Czyżby to tylko upadek kultury?

Piąta sprawa. Odpowiadanie na listy jest niepisany prawem i obowiązkiem w kręgu ludzi kulturalnych; rozumiem, że także w kręgach akademickich. I na ogół tak się dzieje, choć zdarzają się wyjątki. Ponad pięć lat temu (29 grudnia 1999 r.) *Przegląd* opublikował sążnisty artykuł poświęcony posłance SLD Krystynie Łybackiej („Rachunek prawdopodobieństwa – Rozmowa z wiceprzewodniczącą SLD” – Red. Bogdan Burski). Artykuł kończy się pytaniem: *Czego życzyłaby Pani Polakom na najbliższy czas? Odpowiedź: Zdrowia oraz tego, by byli mądrze rządzeni.* (Mój dopisek do powyższego: *Komentarz niech każdy dopisze sobie sam teraz, w połowie 2005 r. po czterech latach tych nieocenionych rządów!*) Przedstawiono ją jako znakomitego matematyka-probabilistę, czyli specjalistę od teorii prawdopodobieństwa. Znałem tylko jedną niewielką pracę naukową p. Łybackiej dotyczącą losowego podziału kwadratu, opublikowaną w 1973 r. w czaso-

piśmie matematycznym Politechniki Poznańskiej o nazwie *Fasciculi Mathematici*. W bibliotece uniwersyteckiej znalazłem jeszcze podręcznik ze statystyki napisany przez p. Łybacką wspólnie z profesorem Bobrowskim. Przejrzałem tę książkę i odnotowałem pewne uwagi. Zdecydowałem się napisać do pani Łybackiej. Znalazłem tylko jej adres jako posłanki SLD w Poznaniu i tam skierowałem swój list z prośbą o wskazanie mi innych osiągnięć naukowych pani doktor niż te, które wyżej wymieniałem. Na mój list nie otrzymałem odpowiedzi. Nie pomogły także moje starania o kontakt poprzez kolegów z Politechniki (e-mail z 3 marca 2000 r.). Szanujący się pracownik naukowy albo ma własną stronę w Internecie, albo udostępnia swoje wyniki naukowe w formie listy prac, plików itp. na prośbę zainteresowanego kolegi. Oczywiście może się zdarzyć, że nie ma czego pokazywać i wówczas lepiej milczeć. Zdobywanie stopni naukowych u nas nie jest jednoznacznie pozytywne. Nawet dochodzi do tego, że można uzyskać tytuł profesora drogą plagiatu. O niektórych tego typu faktach pisał niedawno dr Marek Wroński w artykule *Cel uświęca środki* (adres w Internecie: www.forumakad.pl/archiwum/2003/artykuły/18-zann-cel_uswieca_srodkki.htm). Naukowiec posiadający duży dorobek naukowy, ceniony za granicą, mający tam multum wykładów i wiele naukowych pobyków, może nie mieć u nas żadnych szans uzyskania tytułu profesora, jeśli nie znajdzie poparcia „grupy trzymającej władzę” lub bardzo znaczącej osobistości. A z drugiej strony czytamy o „profesorach” uwikłanych w niezwykle ciężkie przestępstwa kryminalne. I tu rodzi się refleksja. Czy naprawdę brak w Polsce ludzi wysoko wykształconych, mających duży dorobek naukowy i duże doświadczenie w szkolnictwie różnych stopni? Czy koniecznie funkcję ministra musi pełnić osoba z klucza partyjnego, a jeżeli już nawet, to dlaczego bez odpowiednich kompetencji. Oświata, edukacja i nauka są niezwykle ważnymi działami funkcjonowania państwa. Niewłaściwe posunięcia mszczą się na milionach młodych ludzi. Zmniejszanie godzin matematyki w szkołach średnich i wyższych odbija się tragicznie na kondycji umysłowej polskiej młodzieży. I czyż nie ośmiesza oraz kompromituje nasz naród spektakl wyborów prezydenckich, gdy konkuruje do wysokiego urzędu szkoła podstawowa (oby chociaż dobra!), może zasadnicza, ze szkołą średnią. Jeszcze gorzej, gdy nikomu nieznaną osobą z zagranicy niemal zdobywa ten fotel. Jest zupełny brak odpowiednich barier i nikt o to (przypuszczalnie celowo) nie dba, by temu negatywnemu zjawisku zapobiec. Ze zgrozą i smutkiem patrzę na degradację tytułu *doktora honoris causa*. Wystarczyła fala hołdowniczości i wszystko potoczyło się bezmyślnie. Dziwne, że nikt się tego nie wstydzi. Zupełna zmiana postaw, mentalności, a może i uczciwości.

Szósta sprawa. Zdumiewający jest fakt zdobywania przez *rektorów* niektórych prywatnych uczelni stopni i tytułów naukowych bez większego trudu. Bardzo dziwne jest to, że nikt nie zwraca uwagi na angażowanie tzw. wybitnych profesorów do tych szkół bez potrzeby sprawowania przez nich jakichkolwiek realnych funkcji, zwłaszcza dydaktycznych. Reszta toczy się dalej *sama*. Tymczasem uzyskanie takichże naukowych szczytów przez zwykłego śmiertelnika, nie pozostającego w dobrych układach, nawet na uczelni publicznej, staje się dla takiego człowieka drogą przez mękę, o ile w ogóle kończy się dobrze. Wystarczy bywać na radach wydziałów, by niejednokrotnie wychodzić stamtąd niemal chorym.

Przykład? Chcesz uzyskać doktorat lub habilitację, a nie należysz do *miłych*. Jesteś wówczas przepytany w demonstracyjny sposób na wszystkie możliwe sposoby, często bez żadnego związku z tematem lub pracą. Nawet studenta przy kursowym egzaminie tak się nie pyta. Jesteś uznawany przez liczące się gremium, to słyszysz hymny pochwalne, wszystko przebiega gładko i bez zająknięcia. Oj, przydałaby się tutaj lustracja, nie tylko ta polityczna, ale naukowa i etyczna. Czy to będzie kiedyś u nas w ogóle możliwe?!

Z refleksją nad własnym życiem i działaniem jest w Polsce ostatnio nad wyraz źle. Wydaje się, jakby społeczeństwo znalazło się w jakimś chocholim bezmyślnym bezwładzie. Narastają zjawiska działania na szkodę państwa i społeczeństwa, wzrasta przestępczość, szerzy się korupcja i brak odpowiedzialności, niezależnie od pełnionej funkcji i zawodu. Przeraża wielkość tego zjawiska i nieumiejętność poradzenia sobie z nim przez powołane do zwalczania zjawisk patologicznych instancje, przez co sprawia się wrażenie jakby przyzwalania na to, co już zaczyna być po prostu dla naszego bytu narodowego groźne. Zanika poczucie patriotyzmu, a samo to pojęcie zaczyna nabierać cech pejoratywnych. Wśród młodzieży jest to pojęcie niemal nieznanne. Nie słyszę, by ktoś w szkole, także wyższej uczył lub podkreślał, że patriotyzm to przede wszystkim postawa wobec ojczyzny, narodu, przejawiająca się rzetelną pracą i przedkładaniem nadrzędnych wartości, takich jak: wolność, niepodległość i suwerenność kraju, nad własne cele oraz gotowością do poświęceń dla swojego narodu i kraju. To już obecnie niemal staje się wstydem reprezentowanie takich poglądów!

Problem narósł już do takich rozmiarów i stał się tak powszechny, że w tej sprawie zabrała głos także Polska Akademia Nauk. W *Forum Akademickim* (nr 11-12, 2003) znajdujemy wypowiedź *Piotra Kossobudzkiego*, rzecznika prasowego PAN. Czasopismo przeznaczone jest raczej dla wąskiego kręgu naukowców i tym samym nie jest ogólnie znane (choć dostępne w Internecie: www.forumakad.pl), a poruszony problem jest niezwykle ważny dla całego społeczeństwa, więc pozwałam sobie pewne fragmenty tej wypowiedzi przytoczyć.

„Być naukowcem” to znacznie więcej niż tylko prowadzić badania, uczestniczyć w kongresach i pisywać doskonałe artykuły. Ludzie nauki od dawna cieszą się dużym autorytetem społecznym, oczekuje się od nich nie tylko wiedzy fachowej, ale również odpowiedniej postawy etycznej i obywatelskiej. Uczony wypełnia więc pewną misję na rzecz społeczeństwa.(...)

Wiadomo, że nie jest z tym najlepiej. Afery gospodarcze i polityczne odnaleźć można we wszystkich gazetach i serwisach wiadomości w radiu lub telewizji. Na ulicach rozbrzmiewa rysztołkowa odmiana języka polskiego, nierzadko w ustach osób z wyższym wykształceniem czy studentów. Korupcja spowszedniała do tego stopnia, że bywa traktowana jako całkowicie normalna droga załatwienia sprawy w urzędzie czy w szpitalu. Patologie nie ominęły także świata nauki – choćby w postaci plagiatów. Co w tej sytuacji mogą zrobić uczeni?

Sprawa jest niezwykle trudna, ale też jedno jest pewne: poprawianie polskiej rzeczywistości naukowcy powinni zacząć od własnego podwórka. W przeciwnym razie trudno nie oczekiwać komentarzy o kotle przyganiającym garnkowi...

Do spraw najbardziej bulwersujących należy z pewnością wspomniany już problem plagiatów. To przestępstwo musi być traktowane z całą surowością. Co sądzić o przypadkach (opisywanych m.in. w „FA”), gdy osoba zwolniona za plagiat z jednej uczelni znajduje zatrudnienie w innej placówce naukowej? Nie wolno zapominać, że uczciwość badawcza obowiązuje od najwcześniejszych etapów pracy naukowej.

W omawianej sprawie mamy również *Stanowisko Prezydium Polskiej Akademii Nauk w sprawie przestrzegania prawa, zasad etycznych i respektowania wspólnych obowiązków obywatelskich* (Warszawa, 15 października 2003 r.):

Uprawianie nauki polscy uczeni uważają za misję, w której mieści się służba pełniona na rzecz społeczeństwa i państwa. Tak jak w chwilach wielu wydarzeń zachodzących w przeszłości, członkowie Polskiej Akademii Nauk uważają za swój obywatelski obowiązek zabrać głos w sprawach publicznych, wyrażając najgłębszy niepokój płynący z obecnej sytuacji w Polsce. Korupcja ogarniająca wszystkie obszary życia społecznego, zanik kultury osobistej, widoczny wśród przedstawicieli wszystkich pokoleń Polaków, prywata i nieliczenie się z dobrem wspólnym, jakim jest Ojczyzna, powodują utratę zaufania do elit politycznych i intelektualnych. Ten stan rzeczy wymaga zdecydowanych działań rządu, parlamentu, kościołów wszystkich wyznań, organizacji społecznych, mediów, a także środowisk związanych z nauką i edukacją na rzecz przywrócenia w Polsce stanu odpowiadającego naszym pragnieniom i potrzebom (...) Powodowani troską o los naszego państwa, wzywamy wszystkich obywateli do podjęcia działań w Sejmie i rządzie, w urzędach publicznych, zakładach prywatnych, w szkołach i we własnym domu, zmierzających do przestrzegania prawa, zasad etycznych i respektowania wspólnych obowiązków obywatelskich.

Podpisano: *Prezes Polskiej Akademii Nauk – Andrzej B. Legocki.*

Apel jest piękny i bardzo ważny, ale pozostanie martwą literą, jeżeli ci, którzy uchybiają dobremu imieniu polskiej nauki właściwie są nienaruszalni, czują się pewni siebie i są zupełnie bezkarni. Sam apel zatem nie zmieni nic, jeśli nie będzie odpowiednich kroków prawnych odsuwających nieetyczne osoby nie tylko od funkcji, ale i od tytułu, bądź jeśli będzie przynajmniej wyraźna presja środowiska na zmianę istniejącej sytuacji i potępienie nieetycznych działań. W Niemczech, po zjednoczeniu państwa, pozbawiono stanowisk profesorskich i kierowniczych w uczelniach i instytucjach naukowych większość osób zaangażowanych politycznie w okresie reżimu NRD. U nas pod tym względem nic się nie zmieniło, a stare powiązania i koterie pozwalają przeprowadzać różne machinacje i ułatwiać

dostęp do tytułów na niejasnych zasadach, przy jednoczesnym utrudnianiu tym osobom, które są spoza tego zwartego środowiska.

We czwartek 11 grudnia 2003 r. *Dziennik Łódzki* (nr 288) obwieścił szokującą wiadomość podaną w tytule: „Były prezydent Łodzi odzyska tytuł odebrany przez UŁ. Jestem Jagiełło, magister Jagiełło”.

Ma się to stać na skutek tego, że: *NSA uznał poprzedniego dnia, że uczelnia nie miała prawa pozbawiać go nadanego wcześniej tytułu. Według Jadwigi Janik, rzeczniczka UŁ, uczelnia podporządkuje się decyzji NSA, która jest ostateczna.*

Sprawa magisterium byłego prezydenta miasta bulwersowała opinię publiczną Łodzi przez wiele miesięcy i była przedstawiana w wielu artykułach prasowych. Otóż w latach 80-tych eksprezydent ukończył 10 semestrów w Akademii Nauk Społecznych przy KC PZPR. Po 13 latach napisał, a w lipcu 2002 r. obronił, pracę magisterską na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politologicznych UŁ. Decyzją władz Uniwersytetu nie musiał zdawać egzaminów związanych z uzupełnieniem różnic programowych w obu uczelniach. Po ujawnieniu tego faktu przez media, w marcu Uniwersytet unieważnił magisterium Jagiełły. Jako powód podał niezgodny z regulaminem studiów skład komisji egzaminacyjnej: jej przewodniczący nie miał wymaganego upoważnienia rektora. Jagiełło odwołał się. „Student nie ma wpływu na skład komisji, ani możliwości sprawdzenia, czy działa ona zgodnie z prawem” – argumentował w skardze do NSA. „Skład komisji odpowiadał wymogom określonym w regulaminie studiów” – uzasadnił orzeczenie sędziego Zygmunt Zgierski. Dodał, że Sąd nie może jednak zdecydować o przyznaniu tytułu magistra. Krzysztof Jagiełło jest teraz dyrektorem generalnym Urzędu Marszałkowskiego w Łodzi, a także szefem SLD w Łodzi. To tyle gazeta.

Gdzie jest zatem prawda? Inne są stwierdzenia Uczelni i Sądu, który rozpatrywał sprawę zapewne czysto formalnie. Nie wnikał zapewne w to, czy istniały jakieś powiązania, na przykład partyjne, między choćby przewodniczącym komisji a ubiegającym się o tytuł. Aż dziw bierze, że Rada Wydziału ustaliła taki właśnie skład komisji, i że nikt *przed faktem* nie zainteresował się niezwykle nagannym jej postępowaniem. Za poważne wykroczenia w wojsku karze się degradacją. Prasa nie doniosła o skutkach prawnych lub służbowych w stosunku do osób winnych tego niezwykle wydarzenia. Czy takie osoby są godne nosić tytuł profesora? Tu sam apel PAN nie wystarczy! Czy można mieć zaufanie do takiego środowiska naukowego, które w pewnym sensie ośmiesza się wobec społeczeństwa?

Nie jest to zresztą jedyny przypadek kompromitacji Uniwersytetu, ale instancji wyższej, bo samej Centralnej Komisji ds. Stopnia Naukowego, gdy również prasa odkryła uzyskanie tytułu profesora na UŁ drogą plagiatu. Nie miałyby to miejsca, gdyby w pracy naukowej samego zainteresowanego, jak i recenzentów obowiązywała *sumiennosc* (czyli dokładność, rzetelność, skrupulatność wykonywania swoich obowiązków). A jest to jedna z głównych cech prawdziwego badacza. Społeczeństwo może zacząć wątpić na podstawie głośnych faktów, czy naprawdę dużo jeszcze takich prawdziwych badaczy mamy.

W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych pewien pracownik naukowy, posiadający znaczny dorobek naukowy, uznanie w pracy badawczej w kraju i za granicą, wykładający tam dziesiątki razy, zwrócił się do Rady Wydziału Matematyki – Fizyki – Chemii UŁ o przeprowadzenie przewodu na tytuł profesora (tzw. „belwederski”). Rada powołała Komisję, a Komisja odmówiła wszczęcia, choć miała przedstawione 10 wstępnych opinii znanych uczonych. Zainteresowany odwołał się do Centralnej Komisji ds. Tytułu Naukowego. I ta nie znalazła podstaw do zmiany decyzji. Wreszcie sprawa trafiła do Naczelnego Sądu Administracyjnego w Warszawie, który orzekł, że postępowanie zarówno Uniwersytetu, jak i CK było bezprawne. Zdumiewające jest, że szacowni profesorowie obu instytucji nie potrafili, a może nie chcieli, respektować jasno sformułowanego prawa, które mówiło, że postępowanie o nadanie tytułu można wszcząć na podstawie wniosku Komisji *lub* samego zainteresowanego, jeśli ma odpowiednie opinie. Aż trudno uwierzyć, by nie można było na tym poziomie intelektualnym zinterpretować znaczenia logicznej alternatywy.

Inny bulwersujący przykład. Na początku roku akademickiego 1995/96 przebywałem w Kopenhadze jako stypendysta duńskiego rządu. Przed wyjazdem poinformowałem (jak się później okazało – nieopatrznie) dyrektora ówczesnego Instytutu Matematyki, że Amerykański Instytut Biograficzny nominował mnie na Człowieka Roku 1995. W Kopenhadze otrzymałem od jednego z profesorów tegoż Instytutu Matematyki (niegdyś mojego studenta) pocztą elektroniczną przedziwne zapytanie, jakie kroki poczyniłem, by takie wyróżnienie uzyskać. Odpowiedziałem, że w środowisku akademickim nie ma zwyczaju samemu ubiegać się o znaczące honory. Moja odpowiedź okazała się niewystarczająca. Wystosowano interpelację do strony amerykańskiej, by się wytłumaczyła ze swego czynu. Poprzez zbieg okoliczności w moje ręce dostał się fax odpowiedzi wysłany z ambasady w Warszawie. Informowała ona, że Amerykanie mają własnych recenzentów i dobre rozeznanie komu się wyróżnienie należy, i nie potrzebują w tej sprawie uzyskiwać zgody ani opinii postronnych osób. O całej tej haniebnej sprawie nie uważano za stosowne ani mnie, ani Uczelnię poinformować. Gdzież tu honor profesorski, gdzie koleżeństwo i nawet elementarna uczciwość!

Wcale się nie dziwię, że z taką stanowczością chciało się przeprowadzić konstytucję UE bez wzmianki o chrześcijaństwie i bez odwołania do Boga. **Przecież religia chrześcijańska jest religią wzajemnej życzliwości, a tę eliminuje się bezwzględnie z naszego życia społecznego i politycznego.**

Jakaż jednak czeka wówczas przyszłość nas i następne pokolenia?

Jak to jest z naszym stosunkiem do Boga i Kościoła? Formalnie zdaje się to wyglądać wspaniale. Stale się słyszy, że jest 95% katolików w Polsce, ale tylko skąpe 20% uczęszcza na niedzielne Msze Święte. Jak to jest z kadrą akademicką i studentami? Chyba nikt takich statystyk nie sporządzał. Pozostaje się zapytać własnego sumienia, bo na zewnątrz tego nie widać. Jest duszpasterstwo nauczycieli akademickich, ale kto o jego działalności coś słyszał? Swego czasu, tuż po wojnie, jeden człowiek, a był nim o. Tomasz Rostworowski, potrafił przyciągnąć do

kościół akademickiego (jezuitów) rzesze studentów, a wśród nich widać było wielu profesorów, którzy po mszy gawędzili ze sobą, ze studentami i duszpasterzem w obszernej sali duszpasterstwa akademickiego. A działo się to wszystko w czasach nasilonych represji. Za aktywny udział w ówczesnym duszpasterstwie karany się było w najlepszym razie odebraniem lub nieprzyznaniem stypendium. A dzisiaj?

Są pielgrzymki studenckie, profesorskie, rektorskie – nawet do Rzymu. Ale kto odważy się powiedzieć do kolegi na przywitanie *Szczęść Boże!* Strach pomyśleć, jaki to musiałby być „oszołom”. A przecież na południu zlaicyzowanych (podobno) Niemiec jest w powszechnym użyciu powitanie *Grüss Gott!*, czyli odpowiednik naszego *Niech będzie pochwalony* lub *Szczęść Boże*. I nikogo to nie dziwi i nie wytyka się braku tolerancji. Są, owszem, na uczelniach bardzo mądre odczyty – seminaria naukowe filozoficzno-teologiczne (nie ma na Uniwersytecie Łódzkim Wydziału Teologicznego, na który zdobyły się inne uniwersytety) o większej lub mniejszej frekwencji (za mało nagłośnione; gdzieniegdzie tylko skromne małe afisze lub prywatne informacje). A któż zobaczy w pokojach uczelnianych lub salach wykładowych krzyż (może sporadycznie). Nie godzi się, bo narusza to powszechnie żadaną *tolerancję*. Dziwne, że nie przeszkadza to, by w niektórych pomieszczeniach, na widocznych miejscach, były powywieszane afisze o bardzo niecnotliwych obrazach, nie mających nic wspólnego z nauczaniem, czy nawet z wychowaniem seksualnym. Gdzie? Nie będę wskazywał palcem. Każdy to widzi – myślę, że nie tylko studenci.

Tak, są spotkania opłatkowe u biskupa, lecz w coraz to węższym gronie. Już nie potrzeba epatować swoją obecnością u tej duchowej osobistości. Teraz to już mniej wygodne, narazić może na szwank karierę. Ważniejsze są inne kręgi, ich otoczenie i wpływy, no i pieniądze. A nie daj Boże wypowiedzieć się oficjalnie przeciw aborcji (jakiż to drażliwy temat!), wyrazić swój sprzeciw wobec antyrodzinnej polityki. Od czegoż wówczas głosowania na przeróżnych radach. Jak chętnie się takiego nienowoczesnego członka pozbywa przy nadarzącej się okazji (niby naukowej). Gdzież są wówczas katolicy profesorowie? Jak to jest zgodne z ich sumieniem? Proszę spojrzeć, jak solidarna jest druga strona. Można brać z tego przykład (choć może nie najlepszy).

Jak to jest z *Dniem Pańskim*? Wiem, wiem. Ze względu na udostępnienie szerokim rzeszom dostępu do wiedzy, jesteśmy zmuszeni pracować, wykładać, prowadzić zajęcia w niedziele (na szczęście jeszcze nie w dni świąt). Dobrze, jest to racjonalne wytłumaczenie, bo czynimy to ze względów społecznych (ale nie łudźmy siebie i innych – także ze względów finansowych). Jednak kto z nas podkreśla swój stosunek do tego dnia podniosłego i świętego? Czy potrafimy, ośmielimy się położyć na stole, na biurku, katolickie czasopismo, np. *Niedziele*, *Nasz Dziennik*, *Aspekt Polski*, *Nowy Przegląd Wszehpolski*, *Słoneczną Skałę* lub inne? Nic to nas przecież nie kosztuje, a dajemy sobą pewne świadectwo i zwracamy uwagę studentom, że choć w tym dniu ciężko pracują, ucząc się, to jednak nie przeszkadza to zwrócić swe myśli do Tego, który ten dzień ustanowił i uświęcił.

A jak jest z rozwojem naszego życia duchowego? Przecież podziwiany Lew Tołstoj dawno już temu pisał: *Wiara jest istotnym sensem życia*. A przypomnijmy zdanie Ludwika Pasteura: *Właśnie dlatego, że się tyle uczył i nad nauką głęboko zastanawiał, zachował wiarę Bretona; a gdyby był jeszcze dłużej poświęcał się nauce, to wiara moja byłaby tak żywa, jak wiara bretońskiej wieśniaczki*. Jesteśmy zagubieni w naszych wąskich specjalizacjach. Warto jednak czasem poświęcić choćby kilka minut przemyślenia nad sensem naszych działań i pomyśleć do czego zmierzamy, komu to wszystko zawdzięczamy i w jaki sposób spłacamy dług wdzięczności.

Miłuj bliźniego swego, jak siebie samego. Któż tego nie zna! Zwłaszcza lubimy miłować siebie. Dbamy o to, by mieć dobre dochody przez (jeśli się da) parę miejsc pracy. W kręgu pewnych osób jest, jak słyszę, możliwe wyrabianie godzin paru etatów! Jak to jest wówczas z wypełnianiem swoich obowiązków. Niemożliwe? A jednak! Przecież podwładni też chcą żyć, istnieć przy swoich marnych miejscach pracy. A co będzie, jeśli jako *niełojalni* je utracą? Już lepiej odpracować usłudze za szefa. On jest zadowolony, a podwładny też, bo egzystuje. Jak to się ma do moralności, uczciwości i miłości bliźniego? A czy zauważamy, że w naszym otoczeniu jest współpracownik *niepełnosprawny*, chory. Czy zainteresujemy się jego stanem zdrowia? A matka, wychowująca drugie, czy trzecie dziecko, która nie może zdążyć na czas z wypełnieniem obowiązków naukowych (stara się przynajmniej sumiennie wypełnić te dydaktyczne). Czy w tej modzie na walkę z dzietnością, z polską rodziną, czy podajemy jej rękę? Czy pokierujemy jej pracą naukową, damy wskazówki, rady i serdeczną przyjacielską opiekę? Gdzie szukać takich profesorów. Będę rad o nich usłyszeć! Mam nadzieję, że jeszcze tacy, choć może bardzo nieliczni, istnieją.

Jak to jest z naszą pracą naukową? Wiadomo, jesteśmy bardzo dumni z naszych osiągnięć. Publikujemy dziesiątki, może nawet setki artykułów i wyników naukowych. Czy aby zupełnie uczciwie? Jest tajemnicą poliszynela, jak niektórzy „naukowcy” zdobywają te laury: *Masz mnie dopisać na pierwszym miejscu. Nie chcesz? Jesteś niełojalny, niestety nie nadajesz się na mego współpracownika*. Czy to nie kradzież? A może to nie mniej szkaradne jak sprawy w pogotowiu? Na czym polegała twoja rola kierownika, czy miałeś w tej pracy swój aktywny udział twórczy, inspirujący, korygujący, nakierowujący? A może tylko wykorzystujesz swoje stanowisko? Wiem, że są jeszcze bardzo uczciwi profesorowie, dla których zaszczytem jest to, że publikują ich uczniowie, ale wiem, że jest też inaczej. Tutaj samo prawo nie pomoże. Tu konieczny jest też głęboki *rachunek sumienia*.

A cała sprawa recenzji. Tu jest całe morze niedoskonałości, nie tylko naukowej. To jest sprawa odpowiedzialności etycznej i zawodowej. Jeden z profesorów powiedział mi w chwili szczerości, że w ciągu jednego wieczora jest w stanie sporządzić około dwudziestu ważnych recenzji, rzutujących na losy ludzi, których prace te dotyczyły. Nie wierzę, by w takim tempie były one wykonane rzetelnie i uczciwie. Sam widziałem wiele z nich. Ile było zdawkowych, ogólni-

kowych, bez wnikania w sedno problemu, ale podparte *autorytetem naukowym* i zakończone negatywnym wnioskiem. Gdzie tu sumienie, które zostało przygłuszone lub nawet zniszczone. Przecież za naszym lekceważącym działaniem stoi człowiek, jego dalszy los, pomyślność lub utrata wiary w dobro i sprawiedliwość. A kiedyś jednak składaliśmy przyrzeczenie doktorskie i zobowiązaliśmy się do uczciwości w każdej chwili naszych działań.

Prace dyplomowe. Tu jest sprawa niemal skandaliczna. Kto uwierzy, że można przeprowadzić uczciwie i rzetelnie kilkadziesiąt prac na raz. Ale za każdą pracą idą pieniądze, czasem nawet nie byle jakie. Liczy się pieniądz i układy. Z pracami doktorskimi też nie jest idealnie. Recenzenci dobierani są na zasadzie nie tylko kompetencji naukowej. Wie o tym środowisko. Już przecież nawet o maturę troszczymy się, by eksperci-egzaminatorzy byli niezależni; nawet nie powinni wiedzieć, czyje prace oceniają. Czy w środowisku akademickim nie musimy się czasem uderzyć w piersi i powiedzieć: *mea culpa, mea maxima culpa*?

Jakże miło jest usłyszeć, że ktoś jest skromny i uczciwy. Jeżeli już tak jest, to czytamy o tym najczęściej na nekrologach. A w życiu? Ilu z nas rozpiera pycha i zarozumiałość. Nawet często tego nie zauważamy. *Dzień dobry, Panie Profesorze!* Nie zauważa. Czyżby był aż tak zaaferowany lub zamyślony?

Nasz stosunek do studentów. Tu jest cały zbiór przewinień. Nieprzygotowane wykłady lub ćwiczenia, nagminne spóźnianie się lub urywanie zajęć przed ich końcem, lekceważący stosunek do młodego adepta nauki, brak troski o jasność wykładu i porządny sposób jego przedstawienia (znane powiedzenie wśród studentów: prawą ręką coś bazgrze, a lewą ściera). Widziałem wielu egzaminatorów. Jedni twardzi, skamieniali, wykazujący swą wyższość, inni serdeczni, uśmiechnięci, pamiętający o tym, że sami byli kiedyś w tej trudnej sytuacji. To jasne, że trzeba być wymagającym, ale zarazem sprawiedliwym; trzeba pamiętać, że student to też człowiek, nie można go poniżać.

Nagromadziło się tych przemyśleń sporo, ale i te tu przytoczone nie wyczerpują tematu. Wiele spraw wymaga szerszego omówienia. Na szczęście mam w pamięci wielu moich dawnych profesorów (stara kadra, która już dawno odeszła), którzy błyszczeli nie tylko wiedzą, ale także szlachetnością, niezwykłą uczciwością i bezkompromisowością. Wielu z nich zapłaciło za to odejściem z uczelni; nie nadawali się do nadchodzących czasów.

A jaki jest nasz obecny stosunek do tych, co z racji swego wieku odchodzą z uczelni? Niektórzy szczególnie uhonorowani pozostają na symbolicznym cząstkowym etacie (by nie stracić kontaktu z kolegami), część okazuje się być jeszcze przydatna w szkołach prywatnych (dlaczego nie w swojej państwowej uczelni? – dziwne jest to prawo), o części zupełnie się zapomina. Przypomni ich czasem nekrolog. Czy tu kogoś sumienie nie rusza? Sam, młody panie profesorze, kiedyś znajdziesz się w podobnej sytuacji. A przecież już Johann Wolfgang Goethe pisał: *Kto jest najszcześniejszym człowiekiem? Ten, który potrafi odczuć zasługi drugiego i cieszyć się radością innych, jak swoją.*

W przedstawionych rozważaniach pominięto zupełnie ujemne strony życia studenckiego. Są one bowiem dość powszechnie znane, choć niestety często skutkiem niewłaściwych zachowań i „wzorców” postrzeganych u nauczycieli akademickich. Niech tu posłuży jeden trochę drastyczny przykład podany mi przez studenta bardzo modnego dziś wydziału. Na egzaminie wykładowca rzuca okiem na przedstawioną pracę i ogranicza się do krótkiego komentarza: „widać brak przygotowania, proszę przyjść w następnym terminie”. Sytuacja powtarza się kilka razy. Student coraz lepiej przygotowuje tematy – „na blachę”, nie uzyskuje jednak uwag co do niepoprawności lub błędów swych wypowiedzi. Profesor jest znużony, widać zajęty czymś innym, niż egzaminem. W pokoju czuje się jakiś dziwny zapach. Przedstawiciel wiedzy wychodzi na chwilę z pokoju, by odebrać telefon. Student w tym czasie sięga po szklaneczkę i wacha. Ponad wszelką wątpliwość czuć mocny alkohol. Co myśli wówczas o swym wykładowcy student, czy jest dla niego taka osoba wzorcem, autorytetem? Zachowania studentów w akademikach lub na prywatkach nie biorą się same z siebie.

Jaka jest rada na przyszłość i w czym nadzieja?
Niech to wyrażą słowa wiersza:

Krzyż (S. Hermana, CR)

*Krzyż moją miłością, rozkoszą, radością
I skarbem wśród nędzy tej ziemskiej.
Krzyż moim puklerzem, mej wiary probierzem,
Zachętą do walki zwycięskiej.*

*Krzyż moim oparciem przed piekła natarciem
I słońcem w życiowej pomroce.
Krzyż moją nadzieją, gdy wichry powieją,
Gdy zetrzeć mnie chcą czarne moce.*

*Krzyż mym drogowskazem, cierpienia obrazem
Zaparcia się siebie, ofiary.
Krzyż świata zbawienie, zadośćuczynienie
Za pychę ludzkości bez miary.*

*Krzyż miłość szalona, wznosząca ramiona
Błagalne za synów Adama.
Krzyż win odpuszczenie i dusz odkupienie
Dla złych namiętności mych tama.*

*Krzyż moją otuchą, za grzechy me skruchą
Pobudką do żalu, pokuty.
Krzyż mą cierpliwością, wytrwaniem, wiernością,
Niebiański szlak z złudzeń wyzuty.*

*Krzyż szczebel do nieba, lecz wiele ich trzeba,
By szczęście osiągnąć niebiańskie.
Kto krzyża szedł szlakiem, pod tym walczył znakiem,
Oglądać Oblicze ma Pańskie.*

*W wybranych koronie odpocznie na łonie
Odwiecznej Ojcowskiej miłości.
I palmę zwycięstwa, otrzyma znak męstwa,
Pogrąży się w Bożej światłości.*